

Przemysław Mrówka: Gazowa wojna z Europą Środkową

Dla Putina wyłom w monopolu Gazpromu był całkowicie nie do przyjęcia. Utrata kontroli nad Środkową Europą oddzieliła by go od rynku europejskiego i współpracy z NATO. Zrobił więc jedyną rzecz, jaka mogła temu przeciwdziałać: wypowiedział Europie Środkowej wojnę gazową. Wybuchła ona w 2003 roku i jej pierwszym celem była Białoruś – pisze Przemysław Mrówka.

Zgodnie z językiem doniesień medialnych, 24 lutego 2022 roku Putin zaatakował Ukrainę. Eksperci zajmujący się tematem zaczęli od razu zwracać uwagę, że to nieprawda. Że ta wojna trwa od 2014 roku i tylko przez ostatnie osiem lat nie prowadzono otwartych działań. Czy jednak na pewno? A może tak naprawdę ta wojna trwa już od 20 lat i wcale nie dotyczy tylko Ukrainy?

By przyjrzeć się zagadnieniu, musimy na chwilę cofnąć się aż do roku 1991. Ku radości znakomitej części Europy Środkowej upadł właśnie Związek Sowiecki. Imperium, które jeszcze niedawno było jedną z dwóch sił władających światem, rozpadło się niczym domek z kart. Następstwa tego faktu praktycznie przeredagowały nasze spojrzenie na świat, nie będziemy więc tutaj przyglądać się każdemu z nich z osobna. Skupimy się na dwóch ważnych dla nas: na wypełnieniu powstałej próżni oraz stanie Rosji. Po pierwsze więc, granica rosyjskiej strefy wpływów gwałtownie przesunie się z Łaby o 1500 km w linii prostej na

Wschód. W próżnię tę wkroczy szeroko rozumiany Zachód, zaś kraje do niedawna będące pod butem Moskwy zaczną orientować się na nowego gracza, zgodnie zresztą ze swym wieloletnim marzeniem. Dodatkowo Rosja nie jest w stanie nic z tym zrobić, ponieważ właśnie w bolesny sposób przekonuje się, że księżycowa gospodarka Związku Sowieckiego całkowicie się rozsypała. Rosja lat 90. to miejsce, przy którym osławiony polski „dziki kapitalizm” nawet w swej najczarniejszej legendzie jawi się jako ostoja ordoliberalizmu. Doszło do gwałtownej ucieczki kapitału, przejmowania majątku państwowego i wytworzenia na jego bazie warstwy oligarchów, lawinowego spadku dzietności i wzrostu wskaźników umieralności, atrofii wymiaru sprawiedliwości, pojawienia się mafii i zorganizowanej przestępczości i tak dalej i tym podobne. Stopa życiowa Rosjan spadła nawet w porównaniu do schyłkowego Związku Sowieckiego, co wytworzyło w nich silny i łatwo zrozumiały resentyment do „Zachodu, który zepsuł Rosję”.

Rosja lat 90. to miejsce, przy którym osławiony polski „dziki kapitalizm” nawet w swej najczarniejszej legendzie jawi się jako ostoja ordoliberalizmu

Sytuacja uległa zmianie w roku 2000. Kilka miesięcy wcześniej, 31 grudnia 1999 roku, ustąpił zniechęcony Borys Jelcyn. Pod koniec swych rządów cieszył

się 2% poparciem, ale wystarczyło mu jeszcze władzy, by namaścić swego następcę, Władymira Putina. Ten zaś ledwo został prezydentem, a już wygrał drugą wojnę czeczeńską. Była to w istocie propaganda, nowy przywódca Rosji dokończył bowiem tylko regularny etap trwającej już wojny. Ani nie było w tym wielkiej jego zasługi, ani wojna się nie zakończyła, Achmad Kadyrow potrzebował bowiem jeszcze

dziewięciu lat na zabezpieczenie swojej władzy. Tym niemniej był to sukces, którego znękanе społeczeństwo bardzo potrzebowało. Za nim zaś przyszedł kolejny, jeszcze większy i również nie do końca zapracowany.

W roku 1999 ropa naftowa kosztowała 15 dolarów za baryłkę. W 2001 cena ta skoczyła do 45 dolarów i choć 2002 przyniósł powrót do ceny rzędu 20 dolarów, w kolejnych latach cena stopniowo acz stale rosła. Podobnie zaczęły rosnać ceny gazu. Eksport rosyjskich węglowodorów zaczął przynosić znakomite zyski, co w połączeniu z zagranicznymi inwestycjami oraz reformami gospodarczymi zaczęło się przekładać na wzrost standardu życia. Po dekadzie biedy za Jelcyna, po szoku związanym z rozpadem Związku Sowieckiego, Putin okazał się człowiekiem, dzięki któremu Rosjanie zaczęli żyć jak ludzie. I Rosjanie to dobrze zapamiętali.

W tym okresie Putin orientuje się dość mocno na Europę. Zapewnia on Brukselę o swojej sympatii, snuje teorie Wielkiej Europy od Lizbony do Władywostoku, podpisuje ustalenie współpracy z Sojuszem Północnoatlantyckim i zamienia dotychczasowy łącznikowy organ doraźny w Radę NATO-Rosja, koordynującą współpracę zimnowojennych przeciwników. W swych działaniach ma jednak jedną ciągłą przeszkodę: kraje Europy Wschodniej i Środkowej. Rosję i Starą Unię oddziela pas państw, które jeszcze niedawno znajdowały się pod butem Moskwy, a które teraz widzą w Europie ochronę przed starym hegemonem. Putin wie, że nie może ich udobruchać, może jednak je podporządkować i uciszyć. Ma do tego celu doskonałe narzędzie: gaz i ropę.

Związek Sowiecki był jedynym lub głównym, w zależności od kraju, dostawcą tych dwóch surowców dla swoich satelitów. Dzięki korzystnym kontraktom, lobbystom i innym formom nacisku Rosja utrzymała ten status i u progu XXI wieku dalej twardo trzymała kontrolę nad bezpieczeństwem energetycznym Europy Wschodniej i Środkowej. Teraz mogła to wykorzystać, zmuszając pas Bałtyk-Morze Czarne do uległości poprzez dyktowanie cen. Niestety, Europa Środkowa nie do końca chciała się na to zgodzić i rozpoczęła przeciwdziałania: projekt Nabucco.

Jeżeli spojrzymy na mapę ruro- i gazociągów eurazjatyckich, zobaczymy, że wchodzi one albo w skład funkcjonującego od lat 60 systemu Przyjaźń albo dobudowanego w latach 90. systemu Jamał, oba zaś łączą Europę ze złożami syberyjskimi. W 2002 roku Turcja, Austria, Bułgaria, Rumunia i Węgry utworzyły konsorcjum, które rozpoczęło prace nad rurociągiem Nabucco. Miał on łączyć złoża w Azerbejdżanie i Iranie z terminalem gazowym Baumgarten w Austrii, skąd następnie miał być rozsyłany na kraje europejskie. Projekt zyskał aprobatę Komisji Europejskiej, zaś w 2005 powstał projekt gazociągu Biały Potok, niejako ośmielony powstaniem projektu Nabucco. Ten z kolei miał łączyć Azerbejdżan, Kazachstan i Turkmenistan z Polską i Rumunią.

Dla Putina wyłom w monopolu Gazpromu był całkowicie nie do przyjęcia. Utrata kontroli nad Środkową Europą oddzieliła by go od rynku europejskiego i współpracy z NATO. Zrobił więc jedyną rzecz, jaka mogła temu przeciwdziałać: wypowiedział Europie Środkowej wojnę gazową.

Dla Putina wyłom w monopolu Gazpromu był całkowicie nie do przyjęcia. Wypowiedział więc Europie Środkowej wojnę gazową.

Wybuchła w 2003 roku i jej pierwszym celem była Białoruś. Jakkolwiek dzisiaj łatwo nam zarzucać Łukaszence serwilizm wobec Moskwy to wypada

pamiętać, że 20 lat temu miał on ambicję bycia samodzielnym, niezależnym przywódcą. Aby je ukrócić, Putin zarzucił Łukaszence odmowę sprzedaży 50% udziałów Biełtransgazu oraz niewywiązanie się z planów wprowadzenia wspólnej waluty. Łukaszenko bronił się, jak mógł, ale ocalił tylko własną walutę. Czasowo zresztą, bo w 2010 zmuszono go do wejścia do rosyjskiej unii celnej (od 2015 Eurazjatyckiej Unii Celnej). Wcześniej jednak, w 2004 pod groźbą zakręcenia dostaw w ramach kar umownych zgodził się na przekazanie połowy Biełtransgazu Gazpromowi, de facto tracąc niezależność wobec Moskwy. Potem już tylko następowało stopniowe zaciskanie więzów współpracy.

Kolejnym celem miała być Ukraina. W roku 2004 powstała tam spółka Rosukrenergo, mająca koordynować handel gazem. Przedstawicielem Rosji miał być w niej AB Gazprombank, ale Ukrainy: Raiffeisen Investment AG. Jednak w tym samym roku doszło do pomarańczowej rewolucji i częściowego przemeblowania sceny politycznej. Juszczenko powołał na stanowisko premiera Julię Tymoszenko, ta zaś razem z nowym szefem SBU oraz swoim sojusznikiem politycznym, Ołeksandrem Turczynowem, rozpoczęła intensywne śledztwo wobec spółki. W odpowiedzi Rosja oskarżyła Kijów o brak zgody na podniesienie cen za gaz do rynkowych, Gazprom zaś: o zniknięcie z

ukraińskich magazynów 7,8 milionów metrów sześciennych gazu. Nawiasem mówiąc, do dzisiaj nie ustalono, co się z nimi stało. Negocjacje toczyły się kilka miesięcy, jednak nie osiągnięto porozumienia co do nowych cen, Gazprom zaczął więc 1 stycznia 2006 roku obniżać ciśnienie przesyłowe.

W pewnym sensie był to test, Moskwa zaś była urzeczona rezultatem. Ponieważ Przyjaźń docelowo zasiliał terminale w Europie Zachodniej, kraje Starej Unii zaczęły doświadczać spadków ciśnienia gazu. Od Ukrainy zażądano zgody na nowe ceny, Światowa Organizacja Handlu zaopiniowała także przejście całego bloku wschodniego na ceny rynkowe za gaz, zapominając, że przy monopolu Gazpromu nie może być mowy o rynkowym mechanizmie kształtowania cen. Już 4 stycznia Ukraina skapitulowała i przywrócono ciśnienie. Putin był zaś gotów przedstawić Starej Unii remedium na „kradnącą gaz Ukrainę” i spadki ciśnień sieci gazowej. Do tego remedium szalenie opłacalne, czyniło bowiem z trzech kluczowych krajów Starej Unii dysponentów gazu i tym samym beneficjentów liczących umów na dostawę błękitnego paliwa. Zasilający Niemcy gazociąg Nord Stream oraz zasilający Włochy i Francję gazociąg South Stream. Przy czym z powodu mniejszego zainteresowania Włoch oraz Francji negocjacje zaczęły się przeciągać i 27 maja 2016 roku poinformowano o zamrożeniu projektu.

Oficjalnym uzasadnieniem porozumienia między Gazpromem, E.ON Ruhrgas i BASF było dążenie do zaoszczędzenia na kosztach za opłaty transportowe dla Polski, Litwy, Łotwy, Białorusi i Ukrainy. Do żadnego z wymienionych krajów nie zwrócono się jednak o wycenę, nie przeprowadzono także szacunku kosztów usunięcia niewybuchów czy

uszkodzenia dna morskiego, nie wspominając o kosztach eksploatacji. Nie da się więc ocenić faktycznej opłacalności projektu, jego oszczędność jest jednak wątpliwa.

By ofensywa gazowa przeciw Europie Środkowej się powiodła, trzeba jednak było odsunąć zagrożenie przerwania monopolu, czyli ukrócić projekty Nabucco i Biały Potok. Ten pierwszy, jako projekt unijny, był łatwiejszy do utracenia, zadanie to zaś wzięli na siebie Niemcy. Ku ich rozczarowaniu jednak Komisja Europejska oddaliła sprzeciwy Berlina i w marcu 2009 zdecydowała o dofinansowaniu prac nad Nabucco. Na szczęście Gazpromu w 2008 roku Rosja zaatakowała Gruzję, destabilizując region prac nad gazociągiem i bombardując port w Poti, wyznaczony jako miejsce początku podmorskiego odcinka Białego Potoku. Spowolniło to prace nad obu alternatywami.

Na korzyść Gazpromu w 2008 roku Rosja zaatakowała Gruzję, destabilizując region prac nad gazociągiem

O ile związanie Berlina z Moskwą Nord Streamem zabezpieczyło Putina jeżeli chodzi o ewentualną obstrukcję jego

planów współpracy z Brukselą, które mogłyby podjąć kraje Nowej Unii, o tyle pozostał nierozwiązany problem Ukrainy. W 2008 powrócono do rozmów Moskwa-Kijów wokół gazu. Tym razem Gazprom żądał spłaty długu powstałego przez podwyższone w 2006 roku ceny. Ukraina nie dysponowała żądanymi 1,67 miliardami dolarów, 1 stycznia 2009 roku zamknięto więc dostawy gazu. Już następnego dnia inne kraje Europy zanotowały spadek ciśnienia przesyłowego, tym razem jednak Putina zawiodły rachuby. Komisja Europejska nie wywarła dodatkowego

nacisku na Kijów, zaś dzięki dużym rezerwom Ukraina mogła wziąć Rosję na przeczekanie. 20 stycznia 2009 wznowiono przesył, zaś próba ponownego szantażu gazowego okazała się fiaskiem. W 2010 roku zawarto porozumienie charkowskie. Na jego mocy Ukraina otrzymała 30% obniżkę ceny gazu, Rosja zaś kolejne 25 lat użytkowania przez Flotę Czarnomorską bazy w Sewastopolu. Co wreszcie doprowadza nas do roku 2014.

Zanim jednak do niego przejdziemy, musimy zaznaczyć jedną rzecz. Krym ma na tyle skomplikowaną historię państwową, że celem uproszczenia należało by go właściwie traktować jako osobny kraj. I tak też było do 1954 roku. Wówczas Krymska Autonomiczna Socjalistyczna Republika Sowiecka została zdegradowana do „obwodu krymskiego” w ramach kary za rzekome zbrodnie wojenne Tatarów krymskich, a następnie włączona do Ukrainy. Efektem tego było powstanie prorosyjskich krymskich separatystów, którzy w latach poprzedzających 2014 rok umacniali się na Krymie. W roku 2013 fiaskiem zakończyły się rozmowy w sprawie podpisania umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską. Następstwem było powstanie Euromajdanu, później zaś odsunięcie od władzy dotychczasowego prezydenta, Wiktora Janukowycza. Dla Moskwy wydarzenia te były uśmiechem losu. Po pierwsze, dały separatystom krymskim pretekst do poproszenia Rosji o ochronę przed „ekstremizmem” w obliczu „zamachu stanu”. Po drugie, dawało pretekst na przejęcie kontroli nad jedynym właściwie miejscem, gdzie gazociąg Biały Potok mógł wyjść na brzeg. 27 lutego 2014 roku na Krymie pojawiły się „zielone ludziki”. Rosja znalazła się *de facto*, bo nie *de iure* w stanie wojny z Ukrainą. Późniejsze powtórzenie zabiegu z tworzeniem się ruchów separatystycznych w Donbasie czy Ługańsku były już tylko następstwem logiki prowadzenia działań wojennych i podbijania Ukrainy swoistą wersją rozwojową „taktyki salami”.

Brak jest jednoznacznej definicji tego, czym jest wojna. Prawo międzynarodowe określa ją jako zerwanie stosunków pokojowych i przejście do działań zbrojnych, pomija jednak tym samym kwestie wojen celnych, zastępczych czy informacyjnych. Jeżeli więc za Cynceronem uznamy, że wojna to rozstrzygnięcie sporu przy użyciu siły, to zobaczymy, że Putin zaatakował Europę, w tym Ukrainę, w 2003 roku, Europa zaś postanowiła tego nie zauważyć. Ukraina została bezpośrednio zaatakowana 1 stycznia 2006 uderzeniem na jej bezpieczeństwo energetyczne. Aneksja Krymu w 2014 i wprowadzenie Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej na teren Ukrainy to tylko kolejne stopnie eskalacji trwającego konfliktu. I dlatego uważam, że wojna rosyjsko-ukraińska trwa już szesnaście lat a w 2014 roku tylko przybrała formę, do której jesteśmy bardziej przyzwyczajeni.

Przemysław Mrówka